

Warszawa dnia 3 (15) Maja 1867 roku.

Nr 20. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

TADEUSZ CZACKI.

Mąż wielkiej nauki i niepospolitych cnót w życiu publicznem i domowem, urodził się w dobrach ojczystych Porycku na Wołyniu, dnia 28 Sierpnia roku 1768. Ojcem jego był Szczęsny Czacki, podkomorzy koronny. Tadeusz pierwiastkowe wychowanie odbierał w Gdańsku pod opieką stryja swego Franciszka Czackiego, strażnika wielkiego koronnego. Powróciwszy z bratem do domu rodzicielskiego, tu młodzieńcze lata przepędził i tu jedynie pod dobranymi nauczycielami pobierał nauki, a szczególniej wydoskonalił się w języku łacińskim, który naówczas był główną podstawą edukacji. Niedostateczność wychowania domowego, nagrodziło mu szczęściem samo przyrodzenie, które weń wlało zarody wielkich cnót i zdolności. Młodzieńcem będąc, tak już Tadeusz poznał się na wartości i pożytku z nauk, że z własnych dochodów szkółkę dla sierot w Porycku utrzymywał.



Tadeusz Czacki.

Z takiem usposobieniem i z tak zacnemi skłonnościami, dziewiętnastoletni młodzieniec wstąpił w Warszawie w zawód publiczny i był mianowany do sądów nadwornych koronnych. Sam z własnego natchnienia, oddał się pracy i zgłębianiu dziejów i praw krajowych. Nie ubiegał się za swobodą i zwykłemi rozrywkami młodości, ale czas wolny od obowiązków urzędu, trawił w bibliotece publicznej Załuskich przy Danielowiczowskiej ulicy, lub w archiwum głównem, rozpatrując tak szacowne metryki koronne; w towarzystwie uczonych Albetrandego, którego życiorys podaliśmy w *Opiekunie Domowym* i sławnego historyka Naruszewicza, szukał wiadomości i prawdy o rządzie swego narodu i jego stanie. Nadzwyczajna pamięć i wrodzona namiętność do nauki, ułatwiły mu wydoskonalenie się i nabycie wiadomości potrzebnych do zajęcia odpowiedniego stanowiska, a następnie wykształciły go na najuczeńszego w swoim czasie męża. Czacki więc ani krokiem nie wyruszywszy za granicę swojego kraju, z domowych i rodzinnych żywiołów umiał wydobyć cały rozległy zasób wszechstronnych wiadomości, bez pomocy cudzoziemskich przykładów. W roku 1796, stany na sejmie powołały go do Kommissji Skarbowej Koronnej, która poleciła mu zwiedzić wszystkie miejsca w kraju, gdzie się mogła sól znajdować tyle potrzebna dla Polski po utracie Bochni i Wieliczki—sprawę tę ułatwił pomyślnie własnym nakładem. Wyborny projekt Czackiego wymierzenia całej owoczesnej Polski trygonometrycznie podług planu ułożonego przez Jana Śniadeckiego i zrobienia wielkiej mappy kraju, był nader chwalebnem jego przedsięwzięciem w czasie urzędowania w Kommissji Skarbu. Podczas wstrząśnień i groźnych wypadków w kraju zaszłych, zagrożony utratą całego majątku, w naukach jedynie szukał pieniędzy, a niedawno będąc panem, teraz dla utrzymania siebie i rodziny zamierzał zostać professorem w akademji Krakowskiej. Ale pomyślna zmiana okoliczności utrzymała go przy majątku i pozwoliła mu pracować dalej na ulubionem polu nauk a zwłaszcza historji krajowej, do której znacznie go zasilił dar rękopismów zebranych niemałym kosztem króla Stanisława Augusta, a składający się ze stu kilkudziesięciu tek zgromadzonych przez Naruszewicza materjałów do historji Polskiej, którą Czacki prowadzić zamierzał. W roku 1800 stał się jednym z głównych założycieli Towarzystwa Przyjaciół nauk w Warszawie, i w tutejszem mieście blisko lat trzy przemieszkał. Później został wizytatorem szkół w gubernjach Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej i do ich podniesienia i zakwitnięcia, skutecznie się przyczynił. Następnie wpływał najsilniej na założenie i uposażenie Lyceum w Krzemieńcu, które zakwitem nauk dorównywając niemal uniwersytetowi, posiadało różne zakłady dla kształcenia młodzieży, jako to: szkołę nauczycieli parafijalnych, szkoły chirurgów, akuszerek, weterynarzy, jeometrów. Biblijotekę w Porycku pomnożył do 12,000 ksiąg polskich, 4,000 rękopismów i 60,000 sztuk autentyków rozmaitych. Czacki dotknięty gorączką nerwową, umarł w Dubnie dnia 8 Lutego 1813 roku, pochowany w grobach rodzinnych w Porycku. Pomnik tego znakomitego męża wykonany przez sławnego spółczesnego rzeźbiarza Oskara Sosnowskiego, a umieszczony w kościele S-go Józefa Opieki w Warszawie, przedstawia uczącej się młodzieży, gromadzącej się w tej świątyni na nabożeństwo, wizerunek męża chlubnie odznaczającego się nauką i cnotami.

Największe dzieło Czackiego: *O Litewskich i Polskich prawach, o ich duchu, źródłach, związku*, wydane w Warszawie 1800 roku we dwóch obszernych tomach, objaśniając Statuta Litewskie, mieści w sobie zbiór wiadomości tyczących się dziejów, prawodastwa, handlu, numizmatyki, archeologji i t. d. nie tylko samej Polski, lecz i wielu innych narodów. Lelewel w *Rozbiorze prac historycznych Naruszewicza i Czackiego*, który zaczyna od pięknych słów: „Wielkich ludzi wspomnienie podnoszą umysł i serce,” tak ocenia Czackiego: „Czacki już zasobny w zapas urozmaiconych wiadomości, z własnéj ochoty wystąpił w krainy krytycznych poszukiwań. Nie widać aby szperał gdy pisze, co ma gotowego tem pismo przedziergnie. Nieraz rzęsistą sypie erudycją, a nie ma czasu cytacji źródeł dokładać; nieraz także trwoni gęstemi przytoczeniami w uczonych przedmiotach. W każdej chwili, w każdym razie, umysł jego zdaje się być przepełniony tłumem wiadomości i cytacij. Dostarcza mu jej pamięć bez ścisłej weryfikacji; a miesza wszelkiego rodzaju źródła, zarówno współczesne które świadczyć mogą, jak najpóźniejsze, którym także wyrazów świadczenia udzielić nie wzdraga się. Idą nieraz jedne za drugiemi na wyścigi, wszakże w plątaninie nie mogą być przyćmione prawdziwie świadczące źródła, ponieważ badacza głównie część dziejów czasów Jagielońskich, czasów niedalekich zatrudnia, do nich współczesnych źródeł ma dostatek, pism późniejszych o tem-wcale mało. Wszystko to idzie Czackiemu łatwo, od niechcenia, polotem sieje: niezawsze baczny na jakim gruncie, jak gęsto i jakiem ziarnem; z pewnem zaufaniem, a mianowicie przeświadczeniem; którą rzecz nieczysto widzi, tę porzuca i omija, jakby nią gardził. Na widok jego przekonania i od niego wskazanej prawdy, odwraca się i milknie fałsz od niego wzgardzony. Bo Czackiego umysł w poszukiwaniu pełen swobody, wczytał się w słowa czasu, wyższy od zawiści i uprzedzeń, unosił się wysoko i buja po nad przepaściami i ciemnościami, aby je własnem zgłębił i przeniknął okiem.” „W Czackim daje się czuć ile polityka na religijność, religijność na politykę, obyczaje i naukowa kultura na dobry lub podupadły byt narodu wpływają, gospodarstwo krajowe z handlem i polityką, polityka z powszechną kulturą ma swoje związki. Wszystko u niego poruszone na siebie nastaje, z sobą poplątane jak w rzeczywistości na świecie poplątanie i powiązanie się znajduje; jedno drugie przypomina, jedno drugiemu powodów i życia dodaje, jakie rzeczywiście sprawy ludzkie ukrzepia i kieruje. Wszystko to umysłowi Czackiego jest na każdy raz obecne i chyba pozbawiony ducha obserwatorczego, taki w Czackim prawdziwego uczucia i czujnej w tem przenikliwości niedostrzeże.”

„Co do mnie, ja bym dzieło Czackiego do tegoczesnego ogrodu, tak zwanego angielskim przyrównał—do ogrodu, który w całej rozmaitości swojej jest łatwo i z pomysłem rozwinięty, którego z oddalenia jednym rzutem oka ogarnąć i rozpoznać można, którego taki nie pojmie i niezrozumie, komu rozpoznania i wrodzonej logiki nie dostaje.”

Przechodząc do stylu Czackiego, Lelewel powiada, że nie w dziełach badacza historji szukać go należy: „Trzeba go było słyszeć, trzeba czytać jego

przymówienia i odezwy, którémi serca uczniów Krzemieńca napełnił, którémi do obywatelstwa przemawiał. Wtedy jakby natchniony w sprężystych wyrazach poruszał i rozczulał, wtedy połyskujący ogień wskroś przeszywał i przerażał; wtedy ginęły wady stylu, gdy wylewał piękną swą duszę, uniesiony wzniosłemi uczuciami, podnoszącemi go nad poziom pospolitego działania. Trzeba go było widzieć i słyszeć. Słyszałem go przemawiającego, dodaje Lelewel, widziałem w tych chwilach, w których niepierwszy raz doświadczał, że trwałe szczęście nie jest ludzkiem przeznaczeniem. Patrzałem nań zbliska, jak publicznemi posługami rozerwany, otwierał się swojem sercem i nauką, jak udzielał swych zbiorów i prac piśmiennych, jak swoje badania koło dziejów narodowych podejmowane przymnażał, jak poglądał pełen nadziei tego czasu, w którymby dopełniając Naruszewicza dzieło, swego dopełnił przeznaczenia. Lecz przeznaczenie przed człowiekiem zatrzymane, a oczekiwania bywają zawodne!"

Oprócz wielkiego dzieła o Litewskich i Polskich prawach, wydał Czacki cząstkowe badania historyczne jako to: *O Dziesięcinach* (Warszawa 1801, rozprawa tłumaczona na język francuzki przez Aleksandra hr. Potockiego). *Rozprawa o Żydach* (Wilno 1807), przydana jest *Rozprawa o Karaitach. Czy prawo Rzymskie było zasadą praw Litewskich i Polskich? i czy z północnemi narodami mieliśmy wiele wspólnych praw i zwyczajów?* rozprawa (Wilno 1809). *O prawach Mazowieckich*, rozprawa (Krzemieniec 1811). Michał Wiszniewski, o którym podaliśmy wiadomość w *Opiekunie Domowym*, roku zełszego, na str. 333, w dziele pod tytułem: *Pamiętnik historji i literatury polskiej*, (Kraków 1835), zamieścił pisma Czackiego o Tatarach, o Kozakach, o prawie Chełmińskiem, Obraz panowania Zygmunta Aaugusta. Aloizy Osiński wydał ogólne dzieło: *O życiu i pismach Tadeusza Czackiego*, (Krzemieniec 1816). Michał Baliński w dziele: *Studja historyczne* (Wilno 1856), podał wiadomość o stosunkach Czackiego z Janem Śniadeckim i porównanie tych dwóch mężów.

Czacki, mąż w prawdziwem znaczeniu uczony, dorobił się tego zaszczytnego imienia własną pracą, serdecznem zamiłowaniem nauk, a obok tego celował poświęceniem się dla dobra powszechnego, któremu wszystkie swe zdolności, prace i mienie wyłącznie oddał i całe swoje życie jemu w ofierze złożył.

Leon Rogalski.

Przypisek Redakcji.

Biblioteka Polska staraniem Kazimierza Józefa Turowskiego, wydana w Krakowie 1860 r., zawiera także dzieło Czackiego p. t. ,,Rozprawa o Żydach i Karaitach" (pierwszy raz Wilno 1807 r.). Praca ta dowodzi jak dalece genjusz Czackiego przewidział a poczęści i przygotował rozwiązanie kwestji żydowskiéj, kiedy jeszcze w owym czasie zaprojektował obszerny plan reformy żydów (str. 117 wydania Turowskiego) na zasadach: równości wobec prawa; reprezentacji w magistratach; możności nabywania nieruchomości; równości opodatkowania z Chrześcijanami; opieki nad ich religją mianowicie nie przyjmowania do Chrztu mężczyzn przed rokiem 20 życia, a kobiet przed 18-tym; dopuszczenia dzieci żydowskich do szkół publicznych i dozwolenia im tworzenia specjalnych szkółek z warunkiem, iż ktoby z nich parafialnéj szkoły nie kończył, nie będzie mógł być Rabinem, ani mieć prawa głosowania i nabywania nieruchomości; zaprowadzania języka krajowego we wszystkich tranzakcjach, wexlach, rachunkach pod nieważnością; zniesienia stroju żydowskiego; zachęcania do rzemiosł i rolnictwa i t. d.

Że Czacki obdarzony ogromną erudycją nie był przytem pedantem, dowodzi między innemi ustęp następujący: ,,Kraj nasz obfity a nieludny, potrzebował przemysłu; żydzi wycinani w Niemczech w czasie powietrza 1349 r. przenosili do nas swoje bogactwa. Handel pieniędzmi był w ich ręku. Chrześcijanin go dotknąć się jeszcze nie śmiał...... Godzi się nawet wierzyć, iż ogromne dawali obcy żydzi summy, które stawiały Króla (Kazimierza Wielkiego) w sposobności liczne podnosić miasta..... Kupiec Chrześcianin nie sarkał na Izraelitę, a kiedy handel kwitnął pod cieniem wolności—Chrześcianin w kościele, żyd w szkole, błogosławili Niebu za jednę ojczyznę i za równą sprawiedliwość." (str. 41, 42 wyd. Turowskiego).

Z tych krótkich dwóch wyciągów pokazuje się, iż Czacki opuścił bity gościniec rutyny i puścił się nową koleją samoistnego zapatrywania się na przyczyny i skutki wszelkich działań ludzkich, to też Turowski oceniając tę jego pracę, przy końcu rozdziału dodatkowego p. t. ,,Wiadomość o życiu i pismach Czackiego," (str. 149) w tych słowach dobitnie określa pogląd autora na sprawy ogólne: ,,Dzieło Tad. Czackiego, które właśnie myślącym ziomkom do rąk podaję, powinno nam służyć za wzór w rozprawianiu o wszystkich kwestjach żydowskich, które zawsze wymagają wyjaśnienia historycznego i komplanacji praktycznej, a nigdy skutecznie i korzystnie dla kraju na oderwanem stanowisku filozoficznem rozstrzygnięte być nie mogą."

ŻYCZENIE WIOSENNE.

Gdy skowronek w chmurach dzwoni,
A szmer liści wiosnę głosi,
Stary śpiewak wam z ustroni
Szczerą piosnkę swą przynosi.

W sercu jego — oj niemało
W niespokojnym życia pędzie
Uczuć wrzało — i przewrzało,
I wrzé jeszcze — i wrzeć będzie...

I myśl jego ciągle roi:
To o życiu, to o Niebie....
Coraz nową piosnkę stroi,
Niewiem — dla was — czy dla siebie?..

Bo dla niego — tem jest piosnka,
Czem dla ziemi w dni obiegu
Każdy twór jej, od pierwiosnka
Do zżółkłego mchu wśród śniegu...

I czyż cały plon ten ducha,
Co tak życiem drzał w oddechu,
W marnych dźwiękach się rozdmucha,
Bez oddźwięku w życia echu?

Lecz przebaczcie — że o sobie
Dziś was piosnka jego trudzi —
Już o szarej często dobie,
Stary śpiewak wasz marudzi....

I przebaczcie — i przyjmijcie
Na tę wiosnę życzeń kilka....
Żyjcie długo — rzeźwo żyjcie,
Niech w was serce nieumilka.

I niech wasza myśl niestygnie,
Niech rozbudza siłę woli —
Bo to tylko was podźwignie,
W każdej trosce i niedoli...

Bez tej walki wśród cierpienia
Łatwo strzaskać łódkę życia —
To wam mówię z doświadczenia,
Nieraz będąc u rozbicia....

Lecz przebaczcie — znów o sobie
Dziś was piosnka moja trudzi —
Już o szarej często dobie,
Stary śpiewak wasz marudzi....

***

PRZEMYTNICY.

opowiadanie

Fulgencyusza Pirożko.

Przed 20 z górą laty, po ukończeniu kursów lekarskich, wróciłem do domu niestety osieroconego: matka odumarła mnie w dzieciństwie, ojciec przed samem mojem w świat wyjściem; — był on dawniej posiadaczem niewielkiej wioseczki, którą przedawszy osiadł w miasteczku X. na granicy Państwa położonem, tutaj nabył domek i ostatnie w nim chwile przepędził. — Na progu więc domostwa zamiast dawniej rodzica postaci, stał jeno stary sługa, siwowłosy Antoni, i towarzysz jego p. Kasper Kociołkowski niegdyś żołnierz, dziś kucharz, koniuszy, stróż, ogrodnik—słowem wszystko w jednej osobie.

Smutno mi było w mojem gnieździe, a jednak nie myślałem go rzucać; choć młody nie wiele wymagałem od życia, nie potrzebowałem pracy drogi zabiegać, szukać jej, starać się o nią, spuścizna poojcowska wystarczała mi na skromne utrzymanie, mogłem więc dalej prowadzić studenckie życie—ciche wprawdzie, ale za to oddane nie pańszczyznianej nauce, bo nie była ona wynikiem konieczności.

I tak samotnie mijały całe tygodnie, a ja nawet nie zbliżyłem się do moich sąsiadów; miasteczko bowiem różniło się tem od innych, że była w niem komora celna, cały poczet urzędników ją składających, spory zastęp strażników, a jeszcze większa od nich gromada żydków bawiących się przemycaniem na wielką skalę; wiedziałem już od mego ojca, że tych ostatnich należy omijać, więc też ich pilnie omijałem, a ztąd i dobra harmonja wzięła początek, kiedy zaś później nieodmówiłem tym biedakom lekarskiej pomocy, kiedy ta pomoc nieraz się okazała skuteczną—wówczas dobra harmonja przeistoczyła się w życzliwość, nawet w przyjaźń nieledwie.

Tak jednak nie mogło być ciągle, po roku znalazły się stosunki, zacząłem się nawet wychylać w okolicę. Pod samem miasteczkiem we wsi Żelówce, mieszkali państwo Woszczyńscy, a siostra samej pani, panna Teresa, odrazu mnie chwyciła za serce: była to dziewczyna młoda, wykształcona, dowcipna czasem ze szkodą bliźniego, a mnie biło w piersi serce także nieleniwe; jakoś się rzecz zaczęła od kataru panny, a nim pacjentka została rekonwalescentką — już czułem że mi przyjemnie biegnie z nią kilka godzin rozmowy, że do Żelówki jadę z większą jak gdzieindziej ochotą, siedzę dłużej, a wracając z niej czasem sobie pomarzyć pozwalam, i w marzeniach tych wiecznie widzę świdrujące oczki p. Teresy. Inny na mojem miejscu szedłby prosto do celu; miałem wszelkie kwalifikacje na męża, poważnego człowieka, statystę — brakło mi tylko śmiałości..... już to do tego muszę się przyznać, że bez pomocy ludzkiej nie miałem odwagi rozpocząć tak ważnego kroku, bierność była cechą mego charakteru, nikt bo mnie nigdy nie zachęcał do czynu, nie spotkałem na drodze mojej człowieka, któryby jak drugi Kleber krzyknął Napoleonowi do ucha „Pirożko jesteś wielki jak świat....” czuję że podobna zachęta rozbudziłaby we mnie uśpioną energję—zachęty nie było, więc nie było i energji. — Jeździłem do Żelówki już rok prawie, ani słówka jednak rzewniejszego nie rzuciłem pannie, chciałem z nią stanąć do ślubu, ale myślałem sobie, że oświadczenie i te wszystkie za nim idące formalności same przyjdą z kolei bez mojej interwencji, i na silniejsze nalegania wewnętrznego głosu bym śpieszył z postanowieniem, odpowiadałem zwykle jakoś to będzie; a panna Teresa to z kwaśną, to z wesołą przyjmowała mnie minką, czasem wzdychała mocno, rozprawiała o gwiazdach, o księżycu, ale wcale nie ze stanowiska astronomicznego zapatrując się na te ciała niebieskie, to znowu niezadowolniona może mojem postępowaniem, siedziała całe godziny milcząca.... co do mnie, zawsze byłem jednakowy—smutek jej równie jak wesele, jednakowo na mnie oddziaływały....

I tak minął spory kawał czasu. Był piękny dzień czerwcowy, powróciwszy od chorych z trochę dłuższej wycieczki, kazałem sobie osiodłać kasztanka i do Żelówki wyruszyłem; stary Kociołkowski przyprowadzając mi konia pod ganek, powiedział:

— Ej paniczu — ta wierzchowa jazda jeszcze nam kiedyś biedy napyta, przemytników pełno, straż za niemi ugania,—teraz szczególniej warcholą się obie strony, lepiej w taki czas gorący kałamaszką wędrować.

— I czegóż się boisz mój stary — toć w wojsku służyłeś, a baba z ciebie.

— Na wojence kulą dostać nie tak straszno, a tu...

Niedosłuchałem reszty, konia spiąłem, kasztanek ruszył; obejrzawszy się jednak za siebie, postrzegłem jak starowina krzyżyk mi posłał na drogę.....

Przyjeżdżam do Żelówki o zachodzie słońca, — niezastałem pozornie zmian żadnych, a jednak czułem je w około siebie: najprzód synek Państwa Woszczyńskich pięcioletni Józio, papla, panny Teresy a więc i mój faworyt, stronił odemnie widocznie, gospodyni domu była poważna, p. Teresa zamyślona, p. Woszczyński wykładał mi długi traktat o gospodarstwie, w którym jednak dużo było o tegoczesnej młodzieży lekkomyślnej, bałamutnej, robiącej sobie igraszkę ze szczęścia kobiety; nie brałem tego do siebie choć wyraźnie pił do mnie, — a dziwny człowiek, gdyby mi lepiej stanowczo powiedział: doktorze żeń się z Teresą—niezawodnie bym się zgodził na propozycję...

Wyszliśmy na przechadzkę do ogrodu. W ogrodzie było parno, duszno, chmurka mała pokazała się od zachodu, wysuwając się jednak coraz bardziej rosła dość szybko, lada chwila deszczu się można było spodziewać, powróciliśmy do salonu, towarzystwo zasiadło koło stołu, znalazłem się w sąsiedztwie Józia, więc w przymilania się do malca.

— Idź sobie, ja ciebie nie kocham — odrzekł bęben, odymając dolną wargę i marszcząc dziecinne czoło.

— A toż dla czego? przecież dotąd było inaczej mój chłopcze...

— Dla tego, bo ciocia mówi że ty *fafuła*, a Józio fafułów nie lubi — dodał z przyciskiem.

Przyznaję się żem się trochę zmięszał, zrobiło mi się smutno, — wprawdzie to miano przykleił mi jakiś urwis kolega jeszcze w dzieciństwie, jeszcze w początkowych klassach i cóż powiecie, przeszło ono ze mną na ławę akademicką, przetrawało tam wszystkie kursa — i teraz powtarzano mi je w towarzystwie, w którem chciałem uchodzić za poważnego człowieka....

Niemiałem jednak żalu do panny Teresy — i za cóż? czyż ona winna żem się fafułą urodził, żem biernością moją uprawnił tę nazwę; zwiesiłem głowę na piersi i nie postrzegłem nawet jak matka malca w kąt postawiła, jak beczał na całe gardło: Józio nie będzie, doktor nie fafuła, już nie fafuła. Na szczęście turkot powozu wyprowadził mnie z kłopotu, po chwili wszedł do pokoju p. Stolarski, młody dzierżawca z sąsiedztwa, towarzystwo się ożywiło i postrzegłem że się żwawo brał do mojej bohdanki; wkrótce pod jakimś błahym pozorem usunęli się na stronę gdzie stał fortepian, zadzwięczały klawisze, popłynęła z nich zwrotka ni to wesoła ni smutna, p. Teresa urwała się w połowie i muzykę zastąpiła rozmowa dość cicha, p. Woszczyńska wysunęła się z pokoju, sam gospodarz leniwo rozwalony na kanapie palił fajkę w milczeniu, a malec korzystając z przybycia nowego gościa, uwolnił się z kąta; podsunął się do mnie, oparł łokcie na krześle, na rączkach zaś podbródek i patrząc mi w oczy figlarnie, szeptał sobie nieustannie półgłosem: p. Stolarski niefafuła, a doktór taki fafuła... Przyznam, że mnie trochę drażniło to brzęczenie osy koło ucha, a kiedy jeszcze p. Woszczyński posłyszawszy treść słów wymawianych przez syna, wrzasnął na całe gardło: kanaljo malcze, zobaczysz co ci zrobię, tylko mi nie milcz, — a na ten krzyk gdy odpowiedziała mu chichotaniem para przy fortepianie — wówczas nie mogłem już dosiedzieć, cicho wymknąłem się z pokoju, na kasztanka i marsz do domu. Ale nie myślcie bym się rozgniewał, bym na mojej szkapie złość spędzał, gdzież tam, ani mi to przyszło do głowy, koń truchta lekkiego pomykał, a ja sobie myślałem na różne warianaty przerabiając sentencją małego Józia; dawniej ostrzelany z nią byłem, dzisiaj bolała mnie ona, bom się już od niej odzwyczaił, bolała może dla tego, że mi ją właśnie p. Teresa przez usta swojego siostrzeńca powtarzała... ale i to dziwnem dla mnie nie było, zwykle bowiem chrzcili mnie tą nazwą ludzie, których okalałem życzliwością. Po przejściu pierwszego wrażenia, postawiłem sobie do rozwiązania kilka pytań, z których ważniejsze były następujące: czy mam rozpocząć formalne zabiegi o rękę p. Teresy? czy starania moje uwieńczy pomyślny skutek? czy w razie odmowy będę bardzo cierpiał? czy p. Stolarski istotnie ma pierwszeństwo przedemną? i t. d. i t. d. Wszystkie jednak, jak się łatwo domyśleć, pozostały nierozwiązane: wybadałem serce — biło spokojnie, nie dostrzegłem tam ani zazdrości, ani gniewu, ani żalu, zbyłem rzecz całą zwyczajnym — jakoś to będzie; deszcz zaś, który zaczął padać do reszty mnie uspokoił, kasztanek nie lubiący snać słoty, przyśpieszył kroku, galopem więc przeleciałem resztę drogi i dziedziniec do mojego należący domostwa, staję przed gankiem widzę w kredensie światło — to i dobrze, zostawiam konia, a sam wpadam do sieni i raptem czuję żem się natknął piersią na jakieś ostrze, — kto tu! — krzyknąłem przestraszony...

Woka mgnieniu drzwi się od przedpokoju otwarły i w nich się zjawił Kociołkowski ze świecą; śmiertelna bladość okryła twarz jego na widok sceny, którą zobaczył: naprzeciw drzwi prowadzących z ganku, oparty o ścianę stał człowiek nie młody, wysoki, chudy, z dzikim i pełnym determinacji wyrazem w twarzy, z pod nizkiej barankowej czapki nasuniętej na czoło, wyglądały kosmki siwych włosów zakręconych w pejsy, nos orli, z pod nasępionych brwi patrzyły duże biegające oczy, usta gniewnie zaciśnięte, wązkie, pokryte rzadkim wąsem, łączącym się niewielką siwą brodą — człowiek ów trzymał w prawej muskularnej ręce lancę, którą pierś mi skaleczył, w lewej zaś pistolet wymierzony we mnie....

— Ktoś ty? krzyknąłem poraz drugi.

— Ot milcz — ozwał się ów gość nieproszony, i ciesz się że cię przy świetle poznałem — a mówiąc to, pistolet włożył zapas, lancę podniósł i usunąwszy mnie na bok silnem pchnięciem, wybiegł z sieni.

Długo nie mogłem wyjść z osłupienia, a Kociołkowski blady, pomięszany, z podniesioną ręką w której sterczał lichtarz z zapaloną świecą, stał niemy na progu przedpokoju — czy to mara, czy rzeczywistość, powtarzał nieustannie... Nie marą było to jednak, ślad bowiem pobytu nieznajomego pozostał — miałem ranę na piersi na szczęście nie głęboką, więc i życiu niezagrażającą; nie umiałem jednak wytłumaczyć sobie tego wypadku, nieszczęście na gładkiej drodze spotkało mnie. W kilka dni jednak tajemnica się rozwiązała: nieznajomy ów był to przemytnik izraelita; właśnie obok mego mieszkania, na samym brzegu rzeki stanowiącej granicę Państwa położonego, bawił się przewożeniem dość znacznego transportu; gdy w tem strażnicy rzecz całą wykryli i rozpoczęli pogoń za winowajcą, przyparty niespodzianie, schronił się do sieni mojego domostwa, a strażnik goniący za nim konno nie przypuszczając tego fortelu, przeleciał przez dziedziniec i znikł na zakręcie; tylko co ucichł tętent kopyt końskich i stary przemytnik uważał się za wybawionego, gdy w tem nowy tętent dał się słyszeć, — a to pewnie strażnik powraca, pomyślał sobie i przygotował się do odporu, przypuszczenie zaś to nabrało pewności kiedy posłyszał, że się jeździec przed gankiem zatrzymał, że zlazł z konia i wchodzi do sieni, — chwilka a padłbym ugodzony kulą w pierś, stary bowiem kontrabandzista nie wiedział że jeżdżę do Żelówki, że jeżdżę konno i powracam ztamtąd dość późno.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

SZCZYGIEŁ.

(wiersz poświęcony Stefanowi Ujazdowskiemu).

W wielkim dniu stworzenia świata,
Bóg powołał wszystkie twory...
Więc do Pana najpierw wzlata,
Powietrznemi płynąc tory:
Gromada leśnych śpiewaków
Różno-piórych, barwnych ptaków.
A za niemi, ziemskim szlakiem
Ciągną zwierząt legje całe:

I żółw' nawet ze ślimakiem,
Dąży oddać Panu chwałę!
Tu lew kroczy groźny, dziki —
Tam poddanych jego szyki.

A przed niemi na chmur stronie,
W przezroczystej szat osłonie,
Dzierżąc berło z gwiazd miljona,
Wśród aniołów złotych grona
Co nad Bożym tronem wzlata,
Zasiadł Stwórca wszego świata.

* * *

Więc przed Panem pierwszy stawa
Lew—monarcha w pośród zwierza;
Dalej orzeł hołd oddawa,
Panujący król u pierza.
I lilja wonna, biała,
Księżna w państwie barwnych kwiatów;
I falista trawka mała—
Pani łącznych aromatów.
A za niemi cicho, skromnie,
Płazy w pokornej postawie,
Więc Pan rzecze: —chodźcie do mnie
Niech i wam ja błogosławię!!...

* * *

I znów owe ptaszą roje,
Do Stwórcy i Pana wzlata:
Cudne piórka, cudne stroje —
Jak przecudna ziemi szata.

A w oddali ptaszek cichy,
U podnóża stanął tronu—
Snać w obliczu Bożem lichy,
Gdy nie składa mu pokłonu...
I tak długo na uboczy,
Stał wśród licznych ptaszków koła,
Aż go wreszcie Pan Bóg zoczy
I przed tron swój go zawoła.
— Coś tak smutne dziecię moje,
Gdy wesołych tylu — roje?
— To szczygieł! — ptaków gromada
Za ptaszynę odpowiada.
On nie strojny w barwne szaty,
On nie wznosi hymnu Tobie,
Niemy, kryjąc się za kwiaty,
Wiecznie w smutku i żałobie!—

Więc Pan powie: — Ptaszku mały
Niesmuć, niesmuć się daremnie!
Odtąd barwny będziesz cały
I dar śpiewu weź odemnie!
A że wszystkie tęczy stroje
Towarzysze twoi biorą
—Więc ich wszystkich, ptasze moje,
Noś sukienkę różnowzorą! *)

Władysław Bełza.

Listy z podróży na wystawę paryzką.

II.

Berlin dnia 1 Maja 1867.

Zatrzymałem się cały tydzień w Berlinie, bo mi tak doświadczeni i poważni ludzie do których miałem listy doradzili: „Nie sztuka przelecieć kawał świata, ale sztuka zobaczyć coś na świecie," — mówili mi. Berlin zasługuje na obejrzenie, a na wystawę kto może, lepiej robi jeśli się nie śpieszy, bo jak się dowiaduję z gazet tutejszych wiele rzeczy jeszcze nie pokończonych, nie ustawionych, nie rozpakowanych ostatecznie. Z tych dwóch względów z ochotą posłuchałem rady tych, co mi odradzali zbyteczny pośpiech, i pozostałem tutaj, aby dogodzić moim oczom spragnionym, przypatrywania się wszystkiemu co jest na świecie ciekawego, a czego pędząc koleją żelazną zobaczyć wcale niepodobna.

Przez cały tydzień byłem na nogach i z miejsca na miejsce chodziłem oglądając to miasto i jego gmachy, to okolice, to różne zbiory przystępne dla publiczności, ale najwięcej mnie ciągnęło do przemysłowych zakładów, z pomiędzy których najdłużej oglądałem ogromną fabrykę lokomotyw, która już dwa tysiące parochodów zrobiła i dwutysiączny właśnie wysłała na wystawę paryzką.

O wszystkiem tem co tu widziałem pisać nie będę, choć dużo sobie porobiłem notatek, bo się jakoś jeszcze opamiętać nie mogę i przyzwyczaić do tego że zagranicą jestem, i ciąglebym tylko patrzył i patrzył, a kiedyby opowiadać przyszło com zobaczył, tobym opowiadał tak długo i szeroko i tak niezgrabnie, żeby się czytelnicy Opiekuna znudzili tylko i zniechęcili do dalszych listów, w których już o samym Paryżu i o wystawie pisać będę, bardziej jakoś z podróżowaniem oswojony.

Niespokojny nawet jestem czym w pierwszym liście opowiedział to wszystko co powiedzieć chciałem, i czym to opisał tak jak pragnąłem opisać. Chciałem żeby mnie czytelnicy moi poznali żem człowiek prosty, żeby się dali przekonać że to co ja zrobiłem przy pomocy oszczędności, każdy prosty człowiek przy wytrwałości i szczerej woli zrobić może. Czym tak napisał, niepamiętam doprawdy i nie dziw, byłem bowiem pod wpływem pierwszej chwili, pierwszego dnia podróży po obczyznie, a kto doznawał kiedy wrażenia jakiego się w takiem położeniu doznaje, ten mnie z łatwością pojmie, że się boję czym tam niewiedzieć czego nie popisał, a jeśli popisałem to mi darować zechce i wytłómaczy przed innemi.

Pierwsze dni podróży po nieznajomym kraju, są zupełnie podobne do pierwszego dnia pracy w nowej fabryce. Człowiek zdaje się zna swe rzemiosło, po rozmaitych większych i mniejszych zakładach pracował, z każdem narzędziem obejść się potrafi, jednem słowem jest pewny siebie co się zowie, a przecież kiedy wejdzie do nowego zakładu, to naraz najmniej pół umiejętności idzie do kąta i zdaje mu się, że mu chyba termin na nowo rozpoczynać będzie potrzeba od *A*, *B*, *C*, swojej sztuki. W nowem miejscu wszystko inaksze, inny rozkład, inny porządek, inni ludzie. Narzędzia zdają się też same, a przecież inne. Gdzie człek był długo to się już znał ze wszystkiem co miał pod ręką, tutaj dopiero zaznajamniać się musi. Tam wiedział na pamięć gdzie co jest, trafiłby po najmniejszą rzecz po ciemku i przez sen—tutaj wszystkiego szukać potrzebuje i choć powiedzą i choć pokażą, trafić nie raz nie może, chociaż widno, to się potyka.

Tak też zupełnie i z podróżą. Wszystko niby zwyczajne, a inaksze. Zna się niby język, ale nieraz i jego pomoc nie wystarcza. W podrózowaniu trzeba przejść nowicjat jak we wszystkiem. Doświadczyłem tego na sobie i przekonałem się, że jestem dopiero terminatorem podróżnikiem. Uczę się oddychać obcem powietrzem i chodzić po obcym bruku i mówić obcą mową, którą zdawało mi się żem umiał kiedym wyjeżdżał.

Wyszedłszy po raz pierwszy na Berlin, ażeby pójść do jednego pana do którego miałem list, zapytałem się jednego ze spotkanych o położenie ulicy, na którą udać się potrzebowałem.

— *Jehen sie jerade aus*, — odpowiedział.

Domyśliłem się z wskazania ręką, że mam iść prosto, zresztą i wyrazy były nieco podobne do niemieckich, ale

*) Taką historję o szczygle, opowiadał mi w dzieciństwie sołtys ze wsi dziadkowej. *(Przyp. aut.)*.

to nie była niemczyzna, jakiej się nauczyłem z książek i od ludzi.

Poszedłem dalej, lecz nim przybyłem na miejsce, znów się rozpytywać trzeba było o mieszkanie tego pana, adres bowiem który mi dano wskazywał tylko ulicę, a niewskazywał numeru.

Zapytałem więc kogoś.

— *Jejenüber dem Joldschläjers—Jewölbe*, usłyszałem odpowiedź, *wo steht ein Jemeine mit Jewehr.*

To już było nad moją domyślność... przekonałem się, że nie umiem po berlińsku.

Dziś jednak, a nawet zaraz na drugi dzień, zacząłem wszystko rozumieć dokładnie. Nikt mi tego nie powiedział lecz sam się spostrzegłem, że berlińczycy wymawiają *g*, jak *j*, i całe powyższe wyrażenie: „naprzeciw sklepu fabrykanta malarskiego złota, gdzie stoi żołnierz z karabinem," umiem już sobie wytłómaczyć.

Tak to na początek w obcym kraju uczyć się potrzeba wszystkiego i oswajać ze wszystkiem, nim się o własnej mocy chodzić i wszędzie trafiać, wszystko rozumieć zacznie. Z początku nawet turkot powozów brzmi w uszach inaczej. Dziś widzę, że Berlin jest cichszym od Warszawy, choć większy od niej; piewszego jednak dnia zdawało mi się, że mi głowa pęknie od ruchu i gwaru na ulicach i gdybym wówczas chciał pisać o Berlinie, tobym napisał że już nie może być hałaśliwszego miasta w Europie—a to nie miasto, tylko nowe wrażenia tak turkotały i hałasowały w mojej głowie.

Wszystko to razem wstrzymuje mnie od opisywania Berlina. Terminator podróżnik, poczekam aż mnie zobaczenie kilku miast większych na czeladnika w podróżowaniu wyzwoli, i wtedy dopiero o tem com zobaczył pisać zacznę. Przytem, choćbym był nawet śmielszym i pewniejszym siebie niż jestem, choćbym już przeszedł moje wyzwoliny jako podróżny—musiałbym być majstrem w pisaniu nielada, żebym Berlin w jednym liście pomieścił. Nie wiem nawet od czegoby mi zacząć przyszło. Czy opisywać ulice, plan, gmachy i pomniki publiczne, czy fabryki i zakłady przemysłowe, czy zbiory i muzea?... Wybierające między opisem ulicy *Unter den Linden*, która jest mniejszą niż sobie wyobrażałem, a fabryką machin parowych Börsiga, którą zwiedzałem aż przez dwa dni i która przewyższyła moje oczekiwania — między Potsdamem, który odwiedziłem w Niedzielę, a publiczną billjoteką w której byłem trzy razy, byłbym jak ów osiołek w bajce Fredry, któremu:

....W żłoby dano
W jeden owies, w drugi siano...

Wolnemi chwilami, wieczorem, kiedy miasto śpi, (a Berlin dosyć wcześnie spać chodzi), czytuję gazety, a w nich przedewszystkiem szukam wiadomości o wystawie, na której radbym być lotem ptaka, chociaż mi ciągle w uszy kładą, że nic ten nie straci kto później przyjedzie. Widziałem już rysunki pałacu wystawy, plany jego rozkładu. Wiem nietylko, że na prawo od głównego wejścia jest wystawa angielska a na lewo francuzka, lecz potrafiłbym trafić do chińskiej, japońskiej, tureckiej, greckiej i jakiej chcecie bez przewodnika. Tak mi się to przynajmniej zdaje. Chociaż może za przybyciem pokaże się, że tak znam się z pałacem wystawy z gazet i przewodników—jak się znałem z językiem berlińczyków z gramatyki niemieckiej i rozmów z Niemcami. Może i w Paryzu niemówią po francuzku tylko po paryzku. Jest to bardzo prawdopodobne, bo nieraz już szłyszałem o różnych paniczach, że mówią akcentem paryzkim, czytałem tyle ogłoszeń o guwernatkach z pronucjacją francuzką. Co to będzie jeżeli ja com prawie nigdy z nikim po francuzku nie mówił i tylko z Ahna i Ollendorfa bez nauczyciela się uczyłem, jeżeli nie mam tego paryzkiego akcentu?... jeżeli przyjechawszy do Paryża trudniej mi będzie się rozmówić niż z berlińczykami, których zrozumiałem nareszcie, choć mówią że *eine jebratene Jans ist eine jute Jabe Jottes* (pieczona gęś jest dobrem darem bożym?...)

Co będzie?... ha! będzie jak Bóg da.

Pałac wystawy, którego całego planu i rysunku nauczyłem się że tak powiem na pamięć, ganią wszycy gdziekolwiek wzmiankę o nim spotkam. Już w Warszawie czytałem w jakimś piśmie korrespondencją, w której go porównywają do ogromnego parkanu, ogrodzenia, za którem widz spodziewa się zobaczyć gmach właściwy, a nie widzi nic. Tutaj znów porównywają go rozmaicie: to do kiszki nadzianej wyrobami całego świata, to do naleśnika położonego na talerzu. Mówią, że sami paryżanie krytykują go okropnie. Wszystkie te krytyki martwią mnie bardzo. Kiedy ludzie potrafią krytykować taką rzecz jak wystawa całego świata, to cóż im łatwiejszego jak krytykować taką mizerotę jak moje listy?... Gdyby je jeszcze kto porównał do kiszki (byle nie głupstwami nadzianej) lub do naleśnika, niebyłoby tak wielkiej biedy, bo kiszka i naleśnik niezłe rzeczy—ale jak gorzej wypadnie?...

Daprawdy odkąd się przekonałem, że w Berlinie nie umiem po niemiecku, żem na szerokim świecie jak w nowej fabryce i ani wiem gdzie się zwrócić, odkąd co chwila się przekonywam jak mało umiem jeszcze—to mnie cały mój rezon odstępuje, i zdaje mi się że pióro autorskie, które pierwszy raz w życiu biorę do ręki, jest cięższem od owego młota, którym niegdyś raz pierwszy uderzałem w rozpalone żelażo. Pisarze książek i gazet są ludzie najtwardszego rzemiosła, choć się napozór nie wydaje zbyt uciążliwem ich zajęcie.

Jest, to może pierwsza prawda jakiej się nauczyłem za granicą, nie licząc tej, że język niemiecki a berliński to dwa.

Jutro wyjeżdżam zwykłą drogą na Magdeburg.

Józef Niepowie.

CYPRYS.

Wszystko co wyszło z rąk Stwórcy, nosi na sobie cechę doskonałości, piękna i pożytku. Nigdzie może jednak wspaniała wielkość Przyrody tak dobitnie się nie przedstawia jak w drzewach.

Świat byłby pustynią, gdyby drzew na nim nie było; większa część ludzi byłaby pozbawioną ciepła i światła i nad to, musiałaby kryć się w lepiankach i jamach, jąk dzikie zwierzęta. W powietrzu szkodliwe wyziewy nie znajdując nigdzie żadnej przeszkody, swobodnieby się po całym świecie rozszerzały. Toż samo miałoby miejsce z zimnemi wiatrami, któreby znacznie się przyczyniły do oziębienia klimatu. Zresztą, zważywszy jak ważny wpływ wywierają drzewa na skład i stan powietrza, zważywszy że one to wytwarzają tlen niezbędny do naszego oddychania, a pochłaniają węglorod, którego nadmiar jest dla organizmu naszego zabujczym, łatwo przyjdziemy do przekonania że bez drzew bardzo być może, iż istnienie nasze na ziemi byłoby niemożliwem.

Takiem jest mniej więcéj ogólne znaczenie drzew w gospodarstwie Przyrody; gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystkie szczegółowe ich zalety, przekroczylibyśmy nad zamiar zakres niniejszego artykułu. Przypomnijmy tylko naszym czytelnikom, że z rozmaitych gatunków drzew w różnych krajach, oprócz znanych korzyści t. j. materjału budowlanego i opałowego, otrzymujemy pokarm, napój,

odzież, lekarstwa, cukier, napoje spirytusowe, naczynia, oleje, perfumy, kauczuk, rozmaitego rodzaju owoce it.d.

Zresztą, gdyby nawet drzewa i nie przynosiły materjalnego pożytku, to już choćby dla tego samego iż są prawdziwą ozdobą ziemi naszej, uważaćby się mogły za jeden z najpiękniejszych tworów Przyrody.

Cyprys, należący do rodziny szyszkowych, jeżeli niejest jednem z najpożyteczniejszych drzew, to natomiast bezsprzecznie należy do najozdobniejszych. Ozdobność ta jednak ma raczej smutny niż wesoły charakter, ku czemu się mianowicie przyczynia ich piękna ciemno-zielona barwa, a po części i nadzwyczajna smukłość—ztąd to cyprysy w ogóle wywierają smutne wrażenie. Ta okoliczność była przyczyną, że w całej prawie Europie, a nadewszystko na Wschodzie, uważają to drzewo za godło smutku i żałoby i sadzą je na cmentarzach, a nawet przy pogrzebach używają. W Turcji trudno znaleść cmentarz, na którymby cyprysów nie było. Panuje tam nawet przesąd, że po drzewach cyprysowych unoszą się dusze zmarłych do Nieba.

Pod względem użyteczności, drzewo to dawniej miało wielką sławę w medycynie, a po części nawet i dziś ma u narodów wschodnich.



Cyprys.

Używano zaś nie tylko orzechów cyprysowych, znanych w medycynie pod nazwą *nuces cupressi*, ale i drzewo cyprysowe *lignum cupressi*, przeciwko zimnicom, w krwotokach, śluzotokach it.d. Lekarze arabscy wysyłali dawnemi czasy chorych na piersi na wyspę Kretę dzisiejszą Kandją, kędy rosną całe lasy cyprysów.

Co do cech botanicznych, powiemy tu tylko, że jest to drzewo z tej samej rodziny co nasza jodła, świerk i sosna, a więc zawsze jest zielone i nie raz dość znacznej dosięga wysokości. Korona jego podobna jest do ostrokręgu kształtem i składem przypominającego nasze topole włoskie.

Liście ma drobne, wypukłe, kwiaty zaś żółte lub zielone tworzą szyszeczki, z których z czasem powstaje owoc, szyszka. Drzewo to tworzy małe gaiki w krajach leżących nad morzem Śródziemnem.

Mścisław Kamiński.

ROZMAITOŚCI.

Kandydaci na śmierć. „*Tilsiter Zeitung*" powiada: że w Tylży do jednego kupieckiego kantoru wstąpili dwaj włościanie, pytając: czy tu zapisują się ludzie mający ponieść karę śmierci za Rotszylda. Po długich wypytywaniach, pokazało się że owi włościanie dowiedzieli się od swojego znajomego, że Rotszyld ma być śmiercią ukarany; ale że pragnie wynaleść dla siebie zastępcę i w tym celu wzywa sześćdziesięciu ludzi, którzyby na piśmie wyrazili gotowość poniesienia zań śmierci, skoroby taki los wyciągnęli. Każdy zaś z pozostałych ma otrzymać po 1000 guldenów. Znajomy ich, jak mówili, już się podpisał, a i oni też przyszli celem zapisania się na liście kandydatów na śmierć ,,lepiej bowiem prędzej umrzeć, aniżeli żyć wśród tylu kłopotów i nędzy." Zresztą mieli nadzieję, że otrzymają jaki datek od Rotszylda, ,,który przecież jest człowiekiem bogatym i pewnie dotrzyma słowa." Że są ludzie zniechęceni do życia, to zaiste nie nowina, ale żeby zmyślić podobne niedorzeczności, to już potrzeba chyba *prima Aprilis*. Wielka szkoda że dziennik tylżycki nie podaje daty dnia, w którym ten szczególniejszy wypadek miał miejsce.

ZAGADKI.

Dlaczego oczy są po obu stronach nosa, a nie po jednej?

Żeby zarówno dobrze widzieć mogły, czy się nosa zadziera, czy spuszcza na kwintę.

Myśli i Zdania.

— Praca umysłowa, niechaj ci będzie najmilszą rozrywką i wypoczynkiem po pracy fizycznej.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.